

## Nasza mała Abisag

„Będziesz tam miała, Madziu, jak u Pana Boga za piecem. Rano pościelisz łóżko (on wstaje wcześniej, ale ty śpij, śpij do ósmej), zrobisz mu śniadanie, dasz zastrzyk, tabletki (które wieczorem powtórzysz), pozmywasz, ogarniesz i potem możesz sobie siedzieć, w domu, na tarasie albo w ogródku w altance i kolorowe pisma przeglądać. Telewizja niech leci na okrągło, on mało co mówi (a słucha – zdaje się – jeszcze mniej), to ci przeszkadzał nie będzie. Przyjdzie doktor Jamróż, ostuka, opuka, zmierzy puls, ciśnienie. Coś koło dwunastej wypijecie kawę i do apteki go wyprawisz (tylko nie zapomnij sprawdzić temperatury wrzątku, musisz mu pokazać, że jest równe sto kresiek). Wyjdź zawsze za nim na ganek, bo on nie ufa temu, co przez szybę widzi i co ludzie mu mówią – wspominałam ci już – więc czasem wraca po kapelusz, parasol czy szalik. Pokręci się po aptecę z godzinkę, zajrzy jeszcze do ‘Natury’ i pójdzie na spacer nad rzekę, do portu, na wzgórze do olszyn; podobno długo tak chodzi, tam i z powrotem, дума, na coś patrzy, coś ogląda, coś sprawdza, więc będziesz czas miała i spokój, żeby przygotować obiad.

Kuchnia jest duża – widziałam – wszystko masz, co potrzeba, żeby nie stać za długo i krzyży nie męczyć: kuchenka z płytą, mikrofalówka, piekarnik i zmywarka, jest i mikser-malakser, dalej garnki, garnuszki, patelnie, szklanki, kieliszki (z kryształowymi ostrożnie, pięć już ci tylko zostało), talerze, trzy komplety (w jaskry, w chabry i niedzielny z lazurowym szlaczkiem przy brzegach), sztucce, dwa komplety (ten drugi, złożony – rodzinny, Stanisława dziedzictwo, sprzed wojny na pewno). A w komodzie w sypialni z dziesięć zmian pościeli (z satyny, bawełny, a nawet z jedwabiu! – pamiętasz? mówiłam – jedna haftowana w błękitne smoki, druga z bambusem i śliwą, i sosną), ręczników z pięćdziesiąt, frotowe i inne, małe, duże, mięciutkie i miłe w dotyku. Widziałam, sprawdzałam. W szafach po pani Alinie bluzki, sukienki, spódnice, garsonki, płaszczy, dwa futra i kozuch. Grubsza była, fakt, nawet dość tęga, ale przerobisz, pozbierasz, w biuście, talii i biodrach – w sam raz będą, to jeszcze ponosisz.

Więc tak – dasz mu obiad, uważaj tylko i patrz mu na ręce, bo on czasem sprawdza, czy szklanka z kompotem, jak ją w powietrzu postawić, na pewno na podłogę spadnie. Teresa kazała ci o tym powiedzieć, na pewno sama jeszcze sporo dorzuci. Po obiedzie on drzemkę sobie ucina, a ty masz okazję, żeby się z którąś z dawnych koleżanek spotkać, poplotkować, nowin posłuchać, u Emilii wypić kieliszeczek słodkiego wina do pysznego tortu albo sernika z polewą i pójść na zakupy, do fryzjera nawet. Niczym jaka pani. Będziesz miała swoje

pieniądze, już ja się postarałam, żeby ci nie brakło. Chcą, żebyś mu łóżko ogrzewała – niech płacą.

Pod wieczór, gdy już aptekę zamkną, zajrzy pewnie do was pan Ludwik, starszy syn, albo córka Teresa. Blisko mają, przez drogę, to mogą cię też w ciągu dnia nachodzić. Nad apteką mieszkają, w wieży, która na ośrodek zdrowia spogląda i klientów im łowi; on na pierwszym, ona nad nim, na drugim, to nie wiesz? Ty sama lepiej u nich za często się nie pokazuj, nie wiadomo, czy by im się to podobało. Jeszcze raz ci powtarzam: na Teresę uważaj, ostra i nie lubi, gdy się jej sprzeciwiasz. Z Ludwikiem, bratem przyrodnim, jest blisko, niektórzy mówią nawet – za blisko... Czasem Lucjan z żoną wpadnie was odwiedzić, ten jego młodszy. Jeśli będzie na miejscu, bo za interesami ciągle wyjeżdża.

‘Natura’ to teraz firma, że ho-ho!, a Lucjan prezesem jest jakimś czy głównym dyrektorem. Ziola, miody, soki, dzemy, konfitury, nawet ziemniaki i marchew i jabłka. Zdrowe to a dorodne: ‘Naturalna, e k o l o g i c z n a żywność’. Pachnie jak w sadzie u księdza proboszcza naszego, gdy jabłonie są w kwiatach; dziw, że pszczoły tam nie szukają nektaru. A może szukają? Dużo towaru do Radzyna idzie i dalej w Polskę, podobno o innych krajach też myślą; półciężarówka dwa razy na tydzień w trasę wyjeżdża. Jak rojno, jak gwarno tam wtedy być musi. Na barkę też czasem towar ładują. A pomyśleć... gdy pan Stanisław ten sklepik otworzył, to tylko po miętę albo skrzyp zachodziłam. Z ‘Herbapolu’, a jakże. Z bratem wtedy prowadzili i aptekę, i zioła, ale potem o coś poszło (o kobietę myślę, tę pierwszą, na pewno) i w końcu pan Stanisław brata swojego wypłacił. Ten do Krakowa się przeniósł i tam od lat sobie mieszka.

Tak, zmieniło się u Rulińskich przez te lata, zmieniło; teraz to paniska wielkie, chociaż dawniej też źle im nie było. Oni paniska, więc i ty panią będziesz. Ich nowa apteka widna, przestronna, a piękna, że strach, szkło i mahoń, znasz przecież. Na podłodze tekturowi panowie i panie z reklamy, na ścianach obrazy, stare fotografie, na półkach pod sufitem porcelanowe pojemniki i butle: *Ungventum, Pulvis, Paraffin Liquidum, Sirupus, Sapo Medical*. Tak, drugiej takiej i w Radzynie nie ma. Nowe szafy i lada kosztowały podobno pięćdziesiąt tysięcy. Pięćdziesiąt tysięcy! Ale za to mogą sobie teraz porozstawiać wszystko, na widoku poukładać, żeby tylko ludzi kusić i przymuszać do kupowania; a kto – powiedz – kto nie wysupła ostatniej złotówki, żeby sobie jędrność skóry polepszyć, włosom dodać blasku albo chociaż brzydki oddech osłodzić? Każdy, mówię ci, każdy. I to ci też powiem, że nic mnie tak nie cieszy, jak te w aptekach fiołki, fiolecзки, buteleczki, tubki, pudełeczka. Równiutko to leży i stoi, jedno obok drugiego, na drugim, pod drugim i nawet na milimetr nie wystaje przed szereg. A kolorowe, a pogodne, a uśmiechnięte, jakby nie na chorobę i smutek,

a na wesele i radość szykowane były. Cytrynowe, pomarańczowe i śliwkowe. Mniemam. Och, połknęłabym naraz te wszystkie proszki, pigułki, tabletki, wypijałabym te ich syropy, kropelki, nalewki, nasmarowałabym się tymi maściami, kremami, balsamami. Mogłabym tak godzinami stać, patrzeć i czytać: *Echinacea... Ratiofarm, Pyralginum, Furaginum, Compositum*. A między tymi cudami, jak anioły, płyną czyste, sterylne panie magister, białe, odprasowane, wykrochmalone, które pod fartuszkami tylko bieliznę koronkową noszą.

Nowa apteka to zasługa pani Aliny, jego drugiej żony, świeć teraz Boże nad jej duszą, chociaż wcześniej różnie o niej mówili. I to, że z dyżuru (bo była u Stanisława pomocą apteczną) wprost do jego łóżka skoczyła. Opowiadali ludzie, że mu się goła jak święta turecka na tym dyżurze pokazała, w kąpielni czy jak; czego to ludzie nie wymyślą, chociaż – kto wie – na chłopów takie widoki działają. Inny to był wtedy pan Stanisław, inny, kawał mężczyzny, jak topola wysoki, nie to co teraz, niebożątko zgarbione, które w swoim świecie żyje i ludzkiego, czyli twojego wsparcia czeka”.

„A w nocy? Ciociu Polu, a w nocy?”

„Co ‘w nocy’? Aaa, w nocy... W nocy masz mu tylko stare kości grzać, bo on podobno bardzo marznie; tyś młoda, zdrowa, miła, Pana Boga się boisz, na opiece znasz – dlatego cię biorą. A nie spodziewaj się niczego więcej, co i lepiej, bo na co ci starego dziada amory, z których i tak nic być nie może, utrapienie tylko. I nie martw się, dziecko, nie martw – przelecą dni, przefruną jak dzikie gęsi jesienią, pokrzyczą, odlecą; warto trochę pocierpieć, żeby panią aptekarzową być, choćby tylko na papierze, no i zarobić na przyszły posag, a wtedy dopiero, z wiosną, poszukać sobie młodego, gorącego. Jak na sierotę bez grosza przy duszy, co żadnego życzliwego człowieka przy sobie oprócz mnie nie ma, to i tak nieźle ci się trafia. Poza tym, on już na drugi brzeg patrzy. I ten brzeg coraz bliżej. A te jego dziwactwa?... Są gorsze rzeczy na świecie, są, przyzwyczaisz się, pośmiejesz po kryjomu i tyle.

Czasem też – cóż, rady na to nie ma – popłaczesz, gdy nikt nie widzi, w kątku albo do poduszki, cicho-cichutko; całe miasteczko już śpi, ludzie i zwierzęta, a tylko tobie i temu żółtemu psu spod ratusza zimno jakoś, choć ty leżysz sobie pod kołdrą z puchu, a on pod suchych liści pierzyną. Ale nie martw się – warto. Warto. Poza wszystkim, może to dziwny człowiek, ale dobry, Madziu, dobry. Na skrzypcach umie zagrać i wiersze podobno pisze, to będziecie sobie umilać wieczory.

... No i gdzież oni są? Kwadrans po jedenastej, notariusz drugi raz już wygląda na korytarz, a i mnie czas do pracy wracać”.

– Dnia 21 maja... przed notariuszem Antonim... stawili się... celem zawarcia umowy przedmałżeńskiej...

Notariusz powoli i wyraźnie czytał tekst (który wcześniej przygotował ściśle według wskazówek pana Ludwika) i znad okularów spoglądał na zebranych ludzi. Doktora Jamroza, lekarza rodzinnego („świadek ze strony Rulińskich”), oraz pana Stanisława usadzono z lewej strony, w fotelach pod palmą; starszy pan sprawiał wrażenie, że słucha z zainteresowaniem, kiwał głową od czasu do czasu, poprawiał muszkę i uśmiechał się łagodnie, raz czy drugi poprosił o powtórne odczytanie paragrafu, tego lub poprzedniego. To tylko zwróciło uwagę Antoniego, że na swoją przyszłą żonę ani na rodzinę nie spoglądał wcale.

W środku pokoju, na wprost ogromnego rzeźbionego notarialnego biurka, na krzesłach z wysokimi oparciami siedzieli rzędem dwaj synowie i córka Stanisława. Nie wyglądali na zdenerwowanych czy zatroskanych, przeciwnie, zdawało się Antoniemu, że są zupełnie, ale to zupełnie spokojni, rozluźnieni, swobodni, zadowoleni z siebie i sprytnego rozwiązania, które obmyślili. Wzrok pana Ludwika (najstarszego z trójki rodzeństwa, przyrodniego brata po pierwszej Stanisława żonie, która dawno temu zmarła przy porodzie, wysokiego i kościstego, już z lekka siwiejącego, farmaceuty, jak siostra) wędrował obojętnie po gabinecie, leniwie zatrzymując się od czasu do czasu na jakimś szczególe – to na dużym marmurowym przycisku do papierów, to na lampie mosiężnej, to na zdobionym kałamarzu. Pani Teresa (nieduża, ruchliwa, zaokrąglona tu i ówdzie, dobrze po trzydziestce, *en peu prétentieuse*) trzymała w rękach spodek z filiżanką i małymi łyżkami piła kawę, którą jej podała sekretarka, od czasu do czasu mieszając płyn łyżeczką, jakby nie dowierzała, że cały cukier już się rozpuścił („miesza jak miksturę w aptece”). Pan Lucjan, najmłodszy z tej trójki, niedbały dżentelmen w drogim garniturze i z drugim podbródkiem, obserwował gołębia spacerującego na gzymsie budynku i popatrywał co chwila w kryształowe tremo wiszące za plecami notariusza, w którym widać było jego, Lucjana, miłe, dobrotliwe odbicie.

Z prawej pod oknem Magdalena Nowak, drobna, ciemnowłosa, w drucianych okularach, w białej bluzce i czarnej spódnicy (jakby dopiero co wyszła z egzaminu), pielęgniarka w miejscowym szpitalu, przysła żona tego oto tu Stanisława, i jej przyszywana ciotka, Apolonia, Apolonia jakaś-tam („drugi świadek”), przycupnęły sztywno na brzeżkach plecionych, dostawionych krzeseł, położyły dłonie na kolanach i bez najmniejszego poruszenia wpatrywały się w kartkę, która wolno, wolniutko, na pewno zbyt wolno, przesuwiała się w palcach prawnika. „Wpatrują się jak kot w mysz. Tylko kto tu jest myszą?” – pomyślał notariusz i wzdrygnął się.

To dopiero trzecia poważniejsza sprawa, od kiedy przyjechał do Olchowca. Trudno przecież liczyć potwierdzenia podpisów, dat czy kopii dokumentów. Jan Steinke, stary notariusz, ostrzegł go, że praktyka w Olchowcu to żadne kokosy. Może i nie kokosy, ale zawsze jest to samodzielna kancelaria, a kiedy Steinke odejdzie na emeryturę (na co zanoszą się, i to lada moment, bo stary niedomaga i zdarza mu się parę dni z rzędu nie przychodzić do pracy), wtedy on, Antoni Malczyk, świeżo wyświęcony notarialny aplikant, zostanie sam na gospodarstwie i może uda mu się rozwinąć skrzydła... Marysia uruchomi niebawem po sąsiedzku biuro, pisanie podań, proste pozwy, prośby, odwołania, takie tam łatwe sprawy, więc ręka w rękę może kiedyś do czegoś dojść. Krążą tu od jakiegoś czasu dziennikarze, nawet lokalny dodatek do „Przeglądu” wychodzi. Jeśli tak – to nie bez powodu. Już te pismaki wiedzą, co w trawie piszczy. Czyżby więc były jakieś widoki na inwestycje w Olchowcu? A może kopalnia pod Górą...? W każdym razie są tu dla niego nadzieje. Lepsze to, niż dożywotnie wysługiwanie się w jakiejś kancelarii w Radzynie, gdzie pewnie nie miałby w najbliższych latach szans na zostanie partnerem. A może wcale?

... paragraf 4. ustęp 1. W zamian za opiekę, jaką Magdalena Maria Nowak świadczyć będzie na rzecz Stanisława Rulińskiego, otrzymywać ona będzie od dzieci Stanisława, to jest: Teresy, Ludwika, Lucjana... świadczenie miesięczne na osobiste bieżące wydatki w wysokości... a nadto...

ustęp 2. Magdalenie Marii Nowak przysługuje jednorazowa gratyfikacja w kwocie..., która niezwłocznie wypłacona będzie po... jednak nie później niż trzy lata od chwili zawarcia umowy, a która to suma zostaje z dniem podpisania umowy zdeponowana na rachunku...

paragraf 5. Umowa dochodzi do skutku, z chwilą zawarcia przez Stanisława... związku małżeńskiego z Magdaleną Marią...

paragraf 7. ust. 1. W przypadku rażącego niewywiązywania się Magdaleny Marii... z obowiązków, o których mowa... a w szczególności... względnie rozwiązania stosunku małżeńskiego z jej winy przed datą... kwota wskazana w paragrafie 4. ust. 2 Magdalenie Marii Nowak nie przysługuje.

paragraf 8. Udziały Stanisława... w spółkach... oraz nieruchomości przy ulicy Lipowej 15 w Olchowcu, a także... oraz... jako jego majątek odrębny przedmałżeński nie podlegają...

paragraf 9. Po upływie trzech lat od... umowa może być odnowiona na warunkach...

Spisano w obecności... w sześciu egzemplarzach... takse notarialną pobrano... – co za wariactwo, notariusz chrząknął. Zaiste dziwny kontrakt. Przypatrywał się, jak obecni składają podpisy.

– Czy pani rozumie sens tych, tych sformułowań, a przede wszystkim brzmienie paragrafów: siódmego i ósmego? Wie pani, co tam zapisano? – przytrzymał nagle rękę Magdy, gdy dziewczyna nachyliła się nad rozłożonymi na biurku kopiami umowy. – Pan Ruliński sporządził testament, w którym...

– Rozumiem, że oni – Magda wskazała brodą rodzeństwo – że oni nie chcą, abym dziedziczyła po... Stanisławie, gdyby on... gdyby mu się coś stało. No i – wyprostowała się – muszę się nim opiekować, a sama dobrze sprawować i o głupstwach przez te lata nie myśleć. Na to potrzebni są świadkowie, z mojej strony ciocia... pani Pola, z ich strony – doktor Jamróż. Pan Stanisław nie chce pielęgniarki na godziny, nie chce mieszkać z nimi, nie ma też woli iść do domu opieki. Chce mieć żonę. No to będę jego żoną, wedle tego, co tu zapisano. Prawda, ciociu Polu? Warto, prawda?

\*

Olchowiec, 16 marca...

Szanowny Panie Notariuszu!

Ośmielam się pisać ten list i zajmować Panu czas, bo wiem, że jest Pan człowiekiem uczciwym, czego dowód otrzymałam już przed rokiem, gdyśmy z moim Stanisławem, na miesiąc przed ślubem, spisywali kontrakt przedmałżeński – ten, który Pan przygotował. Piszę w dużym zaufaniu i liczę na to, że zachowa Pan dla siebie wiedzę o sprawach, o których chcę tu opowiedzieć. Zamierzam wystąpić do sądu przeciw Teresie, Ludwikowi i Lucjanowi, a dlaczego – zrozumie Pan, gdy tylko przeczyta mój list do końca. Nie mam tu w Olchowcu nikogo, kto mógłby mi poradzić: jak postąpić, do kogo się zwrócić, jak pomóc temu mojemu biednemu dzieciątku, które niebawem, za cztery miesiące przyjdzie na świat. Na mojego Stanisława nie za bardzo mogę liczyć, bo on żyje w innym świecie, chociaż chyba jest po mojej stronie. Dla Pana to niezręczna sytuacja, ale może byłby Pan łaskaw wskazać mi kogoś? Wiem, że pani Maria, Pana małżonka, prowadzi u nas biuro prawne, że dobra i uczynna z niej kobieta, więc może do niej mogłabym się udać?

Więc jestem w ciąży. Może to Pana dziwi, ale niech Pan pochopnie i źle o mnie nie myśli ani też nie śmieje się ze Stanisława. Otóż takie rzeczy się zdarzają, nie tylko w Piśmie Świętym. Cięża rozwija się prawidłowo, choć boję się trochę, żeby moje lęki i zgryzoty nie zrobiły dziecku czego złego. Jestem pod stałą opieką naszego domowego lekarza, doktora Jamroza, którego znam jeszcze z czasów, gdy pracowałam w szpitalu. Odwiedza nas w domu

i zawsze tak wesoło, do śmiechu zagada, że strachy ode mnie precz uciekają. Dzięki niemu nie martwię się aż tak bardzo, gdy marszczy czoło, słuchając płuc Stanisława.

Nie jest łatwo być żoną człowieka starszego o ponad 35 lat, ale to przecież mój i Poli pomysł (szkoda, że jej teraz przy mnie nie ma, ale musiała pojechać do siostry, nad morze) i moja własna, nieprzymuszona decyzja. Nie za darmo to przecież, prawda? Stary człowiek to utyskiwanie, biadolenie, to dziwaczenie, przyzwyczajenia, to, przepraszam, gnijący już korzeń, a w ziemię wrośnięty na amen. Z wdowcami chyba najgorzej – taki poprzednią żonę będzie ciągle wspominać, a że makaron domowy do rosółu robiła, a że wiedziała, ile kropli pić przed, a ile po, a że pamiętała zawsze o herbacie z maliną do łóżka... Na targowisku kandydatów podobno wdowiec najtańszy, po rozwodniku i nawet po starym kawalerze.

Mój Stanisław inny, nie taki, ale też mi z nim nielekkko, choć to dobry człowiek, spokojny, łagodny, który głosu nie podniesie ani, Boże uchowaj, ręki. Podobno nie zawsze tak z nim było jak teraz, nie zawsze (opowiadali mi ludzie, którzy go znają od lat), ale od jakiegoś czasu zaczął tracić do życia zainteresowanie. Takiego życia, co to każdy z nas pragnie, ja w każdym razie na pewno. Nie od razu to na niego naszło, pomału. Jeszcze gdy żyła jego poprzednia żona, Alina, to on do pracy już za bardzo nie chciał chodzić, wolał do olszynowego lasu iść, na łąki, na mokradła, w dolinę i wyżej – na Górę, posiedzieć z malarzami nad rzeką, wypić z nimi kielicha, pogadać, pośpiewać. Interesami przestał się zajmować, dzieciom większość spraw przekazał i żonie; majątku sobie tylko ociupinkę zostawił (tych udziałów to ma nie za wiele), nowej apteki, której tak bardzo chciała Alina, ani myślał budować, więc musiała sama. I tak to z nim teraz jest: telewizji nie ogląda, gazet nie czyta (czasem tylko do jakiej książki zajrzy), do kina nie chodzi (a kiedyś to prawdziwy kinoman był z niego, tak mówią), polityka go wcale nie ciekawi (to jeszcze rozumiem), ni nawet to, co się w Olchowcu czy w Radzynie dzieje. Opowiadałam mu kiedyś o tej naszej gazecie. Spojrzał na mnie i powiedział, że prawdziwe wiadomości tylko ze środka idą i na swoją głowę pokazał. A gdy mu o jubileuszu Radzynie próbowałam coś mówić, uśmiechnął się, jak to on, łagodnie, i coś o jakimś balaście, który trzeba odrzucić, gadał. Grać tylko lubi na tych swoich skrzypcach (ładnie gra, nie powiem, choć smutno) i jakieś wiersze zapisuje w notesie i jeszcze takie tam różne. Czyta mi czasami, ale niewiele rozumiem.

Coś mu się w głowie przestawiało, ale nie w tym sensie, co zwykle ludzie mają na myśli. Żaden z niego wariat ani nic takiego. Wiem najlepiej, bo już prawie rok z nim siedzę. I stracha żadnego przed nim nie mam. Naprawdę. Bo to, o czym napisałam, to jeszcze nie koniec. Każdy odludek tak ma. Bieda, że on, Panie Antoni, w nic nie wierzy i niczemu nie ufa. Nawet gdy sam dotknie i w rękę weźmie. To gorzej niż niewierny Tomasz! Taki to z nim

kłopot... Gdy mu wodę nalewam do kąpania, choćbym to po raz nie wiem który robiła, on zawsze każe mi tylko ćwierć wanny napełnić, bo: „Któregoś razu przeleje się na podłogę, gdy do niej wejdziesz. Zobaczysz. I po co mam ci roboty przysparzać?”. Bierze jabłko do ręki (szklanę zabroniłam), przekręca dłoń, otwiera i patrzy. „Nie ma znaczenia, że zawsze spada. Kiedyś nie spadnie”. Choćby sto razy słyszał i widział burzę – zawsze czeka najpierw na grzmot, a potem na błysk. A gdy mu próbuję tłumaczyć, że świat jest taki, nie inny (w szkole nam tłukli do głów o tych piorunach), on się śmieje i mówi, że bym taka pewna nie była. To daję spokój i już się z nim nie spieram. Jedziemy autem (on dobrze prowadzi, wzrok ma jak jaki młody), widzę z tyłu daleko za nami inny samochód i nagle słyszę, że mruczy do siebie: „Ciągłe nas zwodzi, ciągle oszukuje. A jeśli ten samochód wydaje się mały, bo t e n właśnie j e s t t a k i m a ł y?”. I tak wkoło. „Na zdrowy rozum, Stanisławie...” najbardziej go denerwuje, tak jakby było co lepszego, niż dobre oczy i rozum. Był u nas kiedyś pan Ludwik w niedzielę wieczorem. Opowiadał o tym dinozaurze, którego odkopali pod Górą. „A skąd wiemy, że świat nie zaczął się przed chwilą? Może Pan Bóg stworzył świat ze szkieletem tego biednego potwora?”. A kiedy pan Ludwik wyszedł, pokręcił głową i spytał: „Czy ja rzeczywiście mam takiego syna, czy tak mi się roi?”. Czasem, jak tak na mnie spojrzę, to nie wiem, co myśleć. Ale wiem, że jak talerz zupy przed nim postawię albo żeberka z kapustą, to je, aż mu się uszy trzęsą i nie zastanawia się: prawda to, czy jakiego czarodzieja sztuczka.

Wielce Szanowny Panie!

Czy Pan uwierzy, że ja do Stanisława, mimo tego wszystkiego, mam jakieś uczucie? Powiedział mi on kiedyś, że moją istotą, „sensem mojego obecnego życia” jest kochać Stanisława Rulińskiego i taka jest moja prawdziwa natura, którą on właśnie, przed chwilą ujrzał, więc też spróbuje mnie pokochać, bo do tej pory sądził, że jestem z nim tylko dla tych pieniędzy. To wtedy, tak naprawdę, byliśmy ze sobą po raz pierwszy. Przyznam się Panu, że chociaż musiał coś wcześniej połknąć, to wcale nie było mi z nim gorzej niż kiedyś wcześniej z kimś dużo młodszym (nie poszłam przecież za męża wprost z różanego ogrodu). Na drugi dzień objął mnie Stanisław i coś takiego powiedział: „Byłem w tobie n i e t y l k o fizycznie i to mnie napełnia szczęściem, jakiego nie zaznałem już dawno”.

Zastanawiam się, czy on się zmienił, od kiedy jesteśmy razem? Czy mu się poprawiło? Nie wiem, sama nie wiem. Myślę, że jest trochę spokojniejszy. Usiłuję go zrozumieć, przynajmniej nie przeszkadzać, on to chyba czuje. Czasem chodzimy razem nad rzekę, do lasu. Słucham, gdy mówi i patrzę, gdy nie mówi nic. Życie z nim niełatwe, ale złości i gniewu nie ma między nami wcale. Czasem mi smutno, bo nie wiem, co myśli. Pojęcia też nie mam, czy zdaje sobie sprawę z tego, że będzie kolejny raz ojcem. Próbowałam z nim o tym



rozmawiać. Niewiele to dało. Może potrzebuje czasu, by się z tym oswoić? „Należy zapytać w Abel i tak to załatwić”. W Abel! Ale to nie takie proste, gdzie jest to Abel i kogo tam spytać? Pamiętam, jak kiedyś opowiadał mi o aniołach. „Ważna jest istota anioła, nie jego istnienie”. Ale dla mnie ważne jest istnienie mojego dziecka, nie jakaś jego istota!

I tak to się plecie. Zabrałam go raz do naszej kapliczki, w gaiku za młynem. Stał przez dłuższą chwilę, patrzył w migdałowe słodkie oczy Panny Majowej, w końcu ścisnął mi rękę. „Nie mogę, Madziu, naprawdę nie mogę. Nie wiem którędy”. Którędy?

Szanowny Panie!

Tak kończy się opowieść o lepszych sprawach, zaczyna o złych. Przyszła zatem pora, by wyłuszczyć powód tego mojego pisania, chociaż pewnie pojmuje Pan, co tu się święci.

Oni już wiedzą, że jestem w ciąży. To małe miasteczko, nowiny rozchodzą się szybko. Nie wierzą oczywiście, że to jego dziecko, ale nie mają dowodu ani świadka żadnego, że jest inaczej. Teraz rozmaite badania prawdę powiedzą od razu, więc szans nie mają, już ja wiem najlepiej. Ale nie o to chodzi, nie jest Pan przecież lekarzem czy księdzem. Rzecz w tym, że oni chcą pozbawić moje dzieciątko, jeszcze nienarodzone, tego, co mu się sprawiedliwie należy. Podejrzewam, że już zaczęli coś kręcić. Muszę więc szybko, jak najszybciej, iść do sądu, żeby praw mojego dziecka, co go wkrótce urodzę, bronił. Ugoda żadna z nimi nie wchodzi w grę. Od kiedy odrzuciłam ciche podchody Lucjana i Ludwika (a tak, jednego po drugim!) i postawiłam się parę razy ich kochanej siostruni – nie ma szans na zgodę.

Nie wchodzi w grę, chyba żeby sypnęli groszem porządnie.

Kończąc, jeszcze raz przepraszam za śmiałość. Rozpisałam się, sama nie wiem, skąd we mnie tyle odwagi. Boję się, że mi dziecko ukrzywdzą.

Szczerze oddana

Nowak Magdalena.

PS

Stanisław mówi, że tylko w liczbach jest trochę prawdy. W to wierzę akurat. Jak policzę, co mi są winni, zawsze na to samo wychodzi.

\*\*\*